

Dominik Rutkowski

nauczyciela klasy skrzypiec i altówki w naszej Szkole

*„I gdy mi wspomnień dzwon dziś dzwoni
Stary żal moim jest dzwonnikiem”*

Zanim razem z żoną Barbarą na stałe zakotwiczyliśmy w Szczecinie, byłem w tym mieście kilkakrotnie jako muzyk orkiestry Zespołu Pieśni i Tańca Pomorskiego Okręgu Wojskowego. Koncertowaliśmy zarówno dla żołnierzy miejscowych jednostek jak i dla cywilnej publiczności, a występy nasze cieszyły się ogromnym powodzeniem. Były to lata 1953- 1955. Nie potrafię dziś umiejscowić sal, w których odbywały się te koncerty, bo jakże inaczej wyglądał wtedy Szczecin! Stare miasto było jednym wielkim rumowiskiem, sterczały jeszcze wypalone mury zamku i katedry, a przez gruzy przebijała się bujna, dziczała zieleń. Chodząc wydeptanymi przez ludzi ścieżkami nie przypuszczałem, że kiedyś tu zamieszkać.

Zbierając doświadczenia orkiestrowe i pedagogiczne jako nauczyciel gry na skrzypcach, altówce, a także na gitarze (!) po drodze do Szczecina zaliczyłem Bydgoszcz, Toruń, Kutno i Warszawę, gdzie wraz z żoną kończyliśmy studia (ona w klasie skrzypiec prof. Ireny Dubiskiej i prof. Zenona Brzewskiego, ja u prof. Stefana Kamasy), a w ramach akcji „Studencie niedziele” wznosiliśmy gmach Akademii Muzycznej na Okólniku.

Mniej więcej rok przed dyplomem kolega – szczecinianin studiujący w Warszawie grę na waltorni zaprosił nas do sali kameralnej Filharmonii Narodowej na koncert Orkiestry Kameralnej z bliskiego jego sercu miasta. Solistą był pierwszy flecista Filharmonii Szczecińskiej, nieżyjący już śp. Tadeusz Wesołowski. Oboje z żoną byliśmy mile zaskoczeni wysokim poziomem wykonania, poszliśmy więc po koncercie pogratulować soliście oraz zespołowi i ... wpadliśmy prosto w objęcia ówczesnego szefa Filharmonii, dyr. Józefa Wiłkomirskiego, który poinformowany przez kolegę, że ma do czynienia ze skrzypaczką i altowiolistą nader elokwentnie i przekonująco zaczął namawiać nas do podjęcia pracy w szczecińskiej orkiestrze. Perspektywy były kuszące, szczególnie zaś obietnica otrzymania przydziałowego mieszkania, co w Warszawie było czymś zupełnie nierealnym. Po krótkiej naradzie z żoną umówiłem się z Dyrektorem na spotkanie w Szczecinie, a gdy nadszedł termin, wziąłem instrument, aparat fotograficzny i ruszyłem „na daleki zachód” aby dokonać rekonesansu.

Był początek czerwca. Szczecin ubrany był w zieleń i kwiaty urzekał i kusił, co ułatwiło mi podjęcie ostatecznej decyzji. Przystąpiłem do egzaminu, którego efektem było podpisanie umowy o pracę na stanowisku pierwszego altowiolisty Szczecińskiej Filharmonii i od nowego sezonu artystycznego stałem się pełnoprawnym obywatelem miasta Szczecina.

Życzliwość otoczenia i nowych kolegów pozwoliły mi – świeżo upieczonemu magistrowi sztuki doskonalić się w grze orkiestrowej, solowej i kameralnej. Brakowało mi tylko bliższego kontaktu z młodzieżą muzyczną lecz wkrótce otrzymałem ofertę pracy w Państwowej Szkole Muzycznej I st. , a w roku 1970 również w Państwowej Szkole Muzycznej II st. W szkole na Staromłyńskiej panował wtedy niepodzielnie dyr. Marian Zarzycki. Uczniowie tej szkoły mówili żartobliwie, że jest to Szkoła im. „Maniusia Zarzyckiego”. Sam dyr. Zarzycki z natury trochę improwizator z „biurem w głowie” (pamiętał prawie o wszystkim bez szukania

w dokumentacji) nie ingerował zbyt w poczynania nauczycieli, co w moim odczuciu było przyzwoleniem na realizację własnych inicjatyw. Szkoła nie była wówczas tak rozbudowana w sensie liczby uczniów i nauczycieli jak obecnie – wszyscy, obojętnie do jakiej należeli sekcji znali się dobrze, uśmiechali do siebie i wzajemnie pozdrawiali, mówiąc „dzień dobry”. Atmosfery życzliwości, jaka ogólnie panowała w szkole nie zakłócały poważniejsze incydenty, a jeśli nawet zdarzały się jakieś drobne zgrzyty, jak to nieraz w relacjach międzyludzkich bywa, to nie miały one wpływu na moją pracę z uczniami.

O swoich uczniach mogę powiedzieć, że byli to wspaniali młodzi ludzie, którzy podświadomie realizowali trzecią zasadę dydaktyki stanowiącą o świadomym współdziałaniu ucznia z nauczycielem. Byli chłonni, dociekliwi, w miarę systematyczni i mieli w sobie to, co w nauczaniu gry na jakimkolwiek instrumencie jest najważniejsze – „dążność woli twórczej do muzycznego działania” (cytat z pracy Nauczanie indywidualne w muzyce w oparciu o zasady dydaktyki Witolda Rogala). Pewnie dlatego osiągnęli bardzo dobre wyniki w grze, chociaż stopień talentu nie wszyscy mieli jednakowy. Przynajmniej dziewięcioro z nich uzyskało pierwsze lub czołowe lokaty na konkursach i przesłuchaniach ogólnopolskich, a dwóch uczniów (Łukasz Kuźmiński – skrzypek i Artur Holdys – altowiolista) zakwalifikowało się do konkursów międzynarodowych.

Wśród moich uczniów byli również tacy, którzy zawiesili na jakiś czas naukę w szkole muzycznej, żeby kontynuować studia wyższe na szczecińskich uczelniach. Marek Słojewski – skrzypek – ukończył Wydział Elektryczny Politechniki Szczecińskiej, a Maciej Kowalski – altowiolista – filologię polską w Wyższej Szkole Pedagogicznej, która była podstawą tworzonego w 1985r. Uniwersytetu Szczecińskiego. Już jako w pełni dojrzały mężczyźni z tytułami magisterskimi powrócili do Państwowej Szkoły Muzycznej II st. aby jej ukończenie zwieńczyć dyplomami z wyróżnieniem.

Sala nr 39 bywała czasami zbyt ciasna, bo moi skrzypkowie i altowiolisci zaczęli do niej zapraszać kolegów innych orientacji muzycznych, którzy zgłaszali chęć wspólnego muzykowania, a nawet uczniów Liceum Plastycznego w charakterze słuchaczy i krytyków. Wymienię tylko kilku, bo nie wszystkich pamiętam, ale byli wśród nich Andrzej Ferber - pianista, który na stałe wyjechał do Szwecji, Jarek Zieleniak – pianista i kontrabasista – obecnie prof. Teorii i kompozycji w Akademii Muzycznej w Poznaniu, a ponadto mąż mojej uczennicy z tamtych czasów – skrzypaczki Iwony Kuczyńskiej. Obaj byli z klasy przemiłej Ś.P. Pani prof. Walentyny Gnatowej. Dołączyła do nich zawsze wesoła, skora do żartów i muzykowania Marta Wilińska (nie pamiętam, czyją była uczennicą).

Andrzej i Marta do ukończenia nauki w Szkole Średniej akompaniowali moim wychowankom nie tylko na koncertach szkolnych i środowiskowych, ale także na przesłuchaniach ogólnopolskich zbierając często pochwały jurorów. Marta po ukończeniu Akademii Muzycznej we Wrocławiu powróciła do Szczecina i już za państwowe pieniądze akompaniowała moim uczniom do chwili, kiedy przeniosła się do Meksyku. Ci młodzi wówczas akompaniatorzy korzystali z pomocy i rad doświadczonych pedagogów i muzyków: pani Haliny Romanowskiej, kochanej i zawsze gotowej do współpracy Celinki Kraszewskiej z którą zaliczyliśmy kilka konkursów ogólnopolskich oraz długo przewodniczącej sekcji fortepianu – uprzejmej, uśmiechniętej i taktownej pani Beaty Swanidze – jestem im wdzięczny.

Ale wróćmy jeszcze na chwilę do klasy pod numerem 39, niekiedy zmieniającej się w małe studio muzyki kameralnej, w którym a jakże nie mogło zabraknąć Grzesia Kmity, dzielnie realizującego partię kontrabasu w kwintecie A-dur F. Schuberta. Niegdyś Grzesio – dzisiaj pan Grzegorz Kmita być może już wtedy „namierzał się” na stanowisko kierownika sekcji instrumentów smyczkowych i udało się. Po przejściu na emeryturę mojej żony – jest nim i rządzi. Sala nr 39 stała się czasem mini klubem dyskusyjnym, w którym z zapałem rozprawiano o sztuce również z kolegami z Liceum Plastycznego. Mam w domu pamiątki z tamtych lat: rzeźbę „Grający altowiolista” wykonaną przez p. Słomę do której modelem był altowiolista Jurek Wojtysiak, oraz „Portret skrzypaczki” namalowany przez p. Kuczyńskiego brata mojej uczennicy Iwony. Obaj plastycy od lat mieszkają i działają w Paryżu.

Z Zespołem Szkół Muzycznych II st. (bo tak nazywa się oficjalnie nasza „muzyczna buda”) jestem związany już 35 – lat. To szmat czasu i trudno zmieścić wszystkie wspomnienia na kilku kartkach papieru. Ogólnie mogę powiedzieć, że były to dla mnie lata dobre, a nawet szczęśliwe.

Mniej sympatyczne wydarzenia, które miały miejsce na początku lat dziewięćdziesiątych ubiegłego stulecia miały swoje przyczyny nie tylko w transformacji społeczno – politycznej w naszym kraju, lecz o dziwo również w radzieckiej „pierestrojce”. Ale ten czas już minął i wracać do niego nie warto. Moja praca w szkole na Staromłyńskiej dobiega końca.

Mam w tej chwili tylko jednego ucznia – skrzypka, którego chciałbym doprowadzić do dyplomu, ponieważ odczuwam wewnętrzną, prawie patologiczną potrzebę dokończenia rozpoczętej pracy. Nie należę też do ludzi myślących kategoriami „a po nas choćby potop!”. Dlatego dość długo dręczyła mnie myśl, co się stanie z klasą altówki (którą bez fałszywej skromności mogę powiedzieć że w szczecińskiej szkole stworzyłem) gdy zabraknie mi sił, aby ten skromny początek rozwijać. Na szczęście obawy moje okazały się płonne. Jako członek komisji egzaminacyjnych obserwuję i z satysfakcją stwierdzam że poziom altówek z roku na rok rośnie tak pod względem technicznym jak i muzycznym co świadczy o pracy mojego następcy. Nie ukrywam dumy, że tym następcą jest mój syn – Włodzimierz Radin – Rutkowski.

Wiem, że miałem w tej szkole wielu przyjaciół zarówno wśród nauczycieli jak i uczniów. Ci ostatni rozproszyli się po Polsce, Europie a nawet w Świecie. Z tymi, którzy pozostali w Szczecinie, a jest ich spora grupa spotykam się dość często, z tymi, co wybrali dalsze rejony – niestety rzadko, chociaż kontaktu z nimi nie straciłem. Marzy mi się, żeby jak kiedyś spotkać się ze wszystkimi w naszej starej klasie nr 39 i powspominać, pogadać o Bachu, Mozarcie, Słowackim, Mickiewiczu – o muzyce i życiu, które chociaż nie zawsze bywa usłane różami, to jednak dzięki sztuce może być piękne.